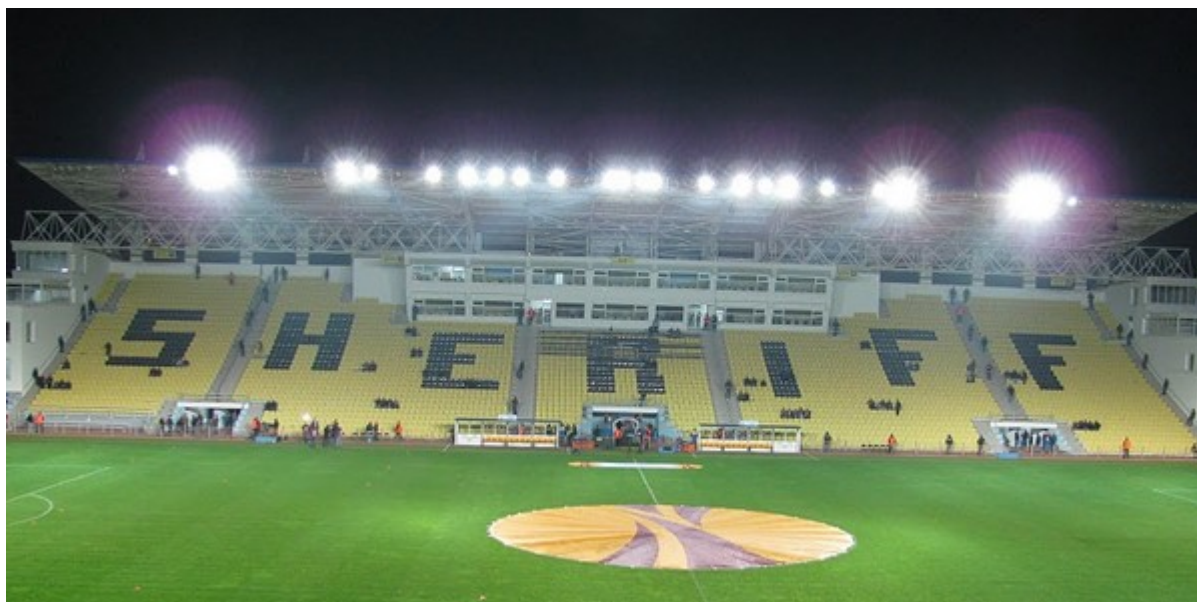


Na lewym brzegu Dniestru – 3 – Świetlana przyszłość?

11 stycznia 2017

Podczas naszej rozmowy konkretny i stanowczy Giennadij Kuźmiczow raz wyraźnie się irytuje. Nie może spokojnie ustosunkować się do powszechnie panującej wśród analityków opinii, że jego kraj nie mógłby istnieć bez rosyjskiej pomocy. Znowu przypomina, jak jest w Mołdawii, pyta, czy przypadkiem tamto państwo też nie jest uzależnione od wsparcia z zagranicy, tyle że europejskiego i amerykańskiego? Dlaczego więc potępiać akurat Naddniestrze i pomoc z Rosji? Kuźmiczow myśli zresztą o naddniestrzańsko-rosyjskich relacjach w innych kategoriach.

Kilka tygodni przed naszym spotkaniem założył organizację społeczną „Russkij Forpost”. Jest dla niego zupełnie oczywiste, że historia nieuznawanego Naddniestrza powinna zakończyć się zjednoczeniem z Rosją. Mamy do tego większe prawo, niż Krym – przekonuje. To sprawa tożsamościowa, ale i pragmatyczna. Kiedy już się zjednoczymy, zmodernizujemy przemysł i rolnictwo, które też zacznie nam przynosić korzyści. Poza tym – to już z wpisów Kuźmiczowa i jego współpracowników na Facebooku – integracja z Rosją powinna rozwiązać sprawę oligarchów. Naddniestrzańskiej „elity”, o której zagranicznym dziennikarzom opowiada się niezbyt chętnie, jakby nie chcąc przyznać, że ten problem, który trawi Mołdawię i Ukrainę, lewego brzegu też nie ominął.



Stadion „Szerifa”.

„Niepewność polityczno-prawnego statusu regionu, komplikowana dodatkowo cyklicznymi kryzysami, wywoływanymi różnymi formami gospodarczej blokady praktycznie odcięła Naddniestrze od zagranicznego finansowania i międzynarodowych organizacji pomocowych” pisał nieżyjący już Janusz Solak, jeden z nielicznych polskich badaczy współczesnej Mołdawii, który potrafił ponad stereotypami i bez uprzedzeń pisać i o polityce władz z Kiszyniowa, i o Naddniestrzu, i o Gagauzji. Gdy w Naddniestrzu z jednej strony zachowywano socjalne zabezpieczenia, chroniąc się tym samym przed masowym rozczarowaniem mieszkańców, z drugiej strony powstawał lokalny system oligarchiczny. Jego niepodzielnym władcą jest holding „Szerif”, czy też, bardziej międzynarodowo, „Sheriff”, zatrudniający 12 tys. mieszkańców Naddniestrza. Nie da się w republice uciec przed „Szerifem”: do niego należą stacje paliw, supermarkety, telefonia komórkowa, spółki budowlane. Holding jest współwłaścicielem słynnej wytwórni koniaków „Kwint”. Jego wizytówką jest 12-tysięczny stadion piłkarski przy drodze z Bender do Tyraspoła. Na stałe występuje na nim klub z naddniestrzańskiej stolicy, oczywiście też Sheriff, ale bywała tu i reprezentacja Mołdawii. Wówczas oficjalna wrogość przegrywała z doraźnymi potrzebami.

Wiktor Guszan, współtwórca i właściciel „Szerifa”, mógł

zmonopolizować całe gałęzie naddniestrzańskiej ekonomii, bo cieszył się poparciem pierwszego prezydenta republiki Igora Smirnowa. Od niego dostał przywileje, o których inni ochotnicy do prowadzenia działalności gospodarczej mogli tylko pomarzyć. Nie da się zliczyć, ile podatków nie zapłacił rosnący w siłę holding, wyprowadzając pieniądze do rajów podatkowych. Władze wybaczały, bo dla nieuznawanego państwa, w którym stare zakłady przemysłowe dopiero układały się z zachodnimi kontrahentami, nawet wpłacana część stanowiła istotny dochód. Do początku XXI w. „Szerif” urósł w siłę na tyle, by – tak jak oligarchowie w powszechnie uznawanych państwach postradzieckich – zafundować sobie partię polityczną o odpowiednio chwytliwej nazwie Odnova. Z powodzeniem. W 2011 r. przewodniczący formacji Jewgienij Szewczuk wygrał w Naddniestrzu wybory prezydenckie, nieoczekiwanie pokonując i jednego z ojców niepodległości republiki Igora Smirnowa, i Anatolija Kaminskiego, też polityka Odnovy, który bardziej podobał się w Moskwie. Dużo obiecał: gospodarka ruszy, wzrosną płace, kraj będzie się rozwijał na każdym polu, niezależnie od tego, czy nadal będzie nieuznaną „czarną dziurą”, czy w końcu zdobędzie aprobatę społeczności międzynarodowej. O to zresztą, zapowiadał nowy prezydent, nowy rząd postara się szczególnie.



Jewgienij Szewczuk raczej nie zostanie prezydentem

Naddniestrza na następną kadencję.

Będąc już głową państwa, Szewczuk próbował stać się politykiem w pełni samodzielnym, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie; faktem jest, że dekretem z 29 grudnia 2012 r. odebrał „Szerifowi” część dawnych przywilejów. W jego drużynie był jakiś czas i Kuźmiczow, który jako minister spraw wewnętrznych gruntownie reformował milicję i służbę celną. Ale w 2015 r. poróżnili się. Dziś były minister, zbierając się do startu przeciwko Szewczukowi, przekonuje, że aktualny prezydent tylko szermuje populistycznymi hasłami. Przypomina, że w ogniu walki ze Smirnowem wyrzucił z administracji jego doświadczonych pomocników, zastępując ich częstokroć niedoświadczonymi młodymi ludźmi bez jasnych kwalifikacji. To nie była ekipa, z którą szedł do wyborów, która pomagała mu w kampanii. Nie ma odwagi, by walczyć z oligarchami i nadużyciami podatkowymi na serio, tak samo tylko udaje, że jego celem jest ostateczna integracja Naddniestrza i Rosji. Nie mówiąc już o tym, że nie ma poważnego planu na to, jak walczyć z kolejnym kryzysem gospodarczym, wywołanym przez wojnę w Donbasie i spadek zamówień z Ukrainy na naddniestrzańską stal.

Jedyny bodaj obszar swoich obowiązków, na który prezydent Szewczuk miał naprawdę jakiś pomysł, to public relations. I nie chodziło tylko o wizerunek własny. Skoro świat nie chce uznać Naddniestrza, kombinował, to chociaż niech przestanie w nim widzieć mroczną krainę, gdzie Lenin mówi dobranoc. Za czasów Szewczuka naddniestrzańscy pogranicznicy dostali podwyżki, żeby zniechęcić ich do pobierania rozmaitych „opłat dodatkowych” od zagranicznych gości. Pojawiły się reklamy agencji oferujących wycieczki po zabytkach republiki, niestety na tyle ciężko doświadczonej przez historię, by teraz móc w kategorii tzw. uniwersalnych atrakcji pochwalić się właściwie tylko turecką twierdzą w Benderach i XIX-wiecznym monasterem Nowy Neamt. W centrum stolicy pojawiło się plastikowe, niby to zachodnie „I Love Tiraspol”, które i tak nie ma szans przyciągać uwagi gości tak, jak modernistyczny Lenin przed gmachem Rady Najwyższej, nie mówiąc o jeszcze większym od

niego Suworowie, zdobywcy Besarabii.



W Muzeum Miejskim w Tyraspolu.

Na spotkaniach z wyborcami Kuźmiczow nie waha się mówić o państwie zawłaszczonym. Chciałby o tym podyskutować zwłaszcza z Wadimem Krasnosielskim, obecnym przewodniczącym naddniestrzańskiej Rady Najwyższej, kandydatem oficjalnie niezależnym, ale, co z czego wszyscy zdają sobie sprawę, popieranym przez „Szerifa”. Ten jednak rzadko pojawia się na debatach i publicznych spotkaniach. Jest pewien zwycięstwa. Spodziewa się powtórzyć sukces partii Odnova z ostatnich wyborów do naddniestrzańskiej Rady Najwyższej, gdy mimo głośnej i kosztownej kampanii polityków związanych z Szewczukiem to protegowani „Szerifa” zgarnęli większość mandatów. Prorosyjskimi hasłami, podobnymi zresztą do tych, z którymi utożsamia się Kuźmiczow, Szewczuk nie zdołał przykryć swojej wcześniejszej niekompetencji. Zwłaszcza że, wytyka mu nie tylko były minister spraw wewnętrznych, ale i większość obserwatorów, dużo mówił, a robił niewiele.

Z „Szerifem” jest inaczej. Wszyscy w Naddniestrzu wiedzą, jakiej natury to biznes, ale gdy prezydent małego kraju okazuje się tak nieprzygotowany do rządzenia tak jak Szewczuk, nie jest trudno pokazać się jako lepsi gospodarze. Holding sponsoruje sport, buduje baseny, względnie tanio sprzedaje podstawowe produkty w swoich supermarketach. Jako pracodawca

jest stabilny, gwałtowne obniżki wynagrodzeń zdarzają się w jego firmach rzadko. Nowych chętnych do pracy szuka praktycznie cały czas. To korzyści namacalne, nawet jeśli tylko doraźne. Pewniejsze, niż wizja integracji z Rosją, która załatwi wszystkie problemy za jednym zamachem.

Do pełnej integracji potrzebna byłaby zresztą jeszcze wola samej Moskwy. A tutaj, przyznaje w pewnym momencie Kuźmiczow, wcale nie jest tak prosto.

– W rosyjskich władzach zdarzają się ludzie, którzy nie umieją myśleć w kategoriach państwowego interesu – stwierdza. W ten ukradkowy sposób formułuje obawę, która nie opuszcza naddniestrzańskich orędowników zjednoczenia: że jest coś na rzeczy w analizach i prognozach, według których Moskwa więcej niż teraz Tyraspolowi już nie da. Oczywiście, nie da się załamać republice, której mieszkańcy uważają się za russkich ludzi. Będzie przymykać oko na niespłacanie zadłużenia, wydzielać hojne subsydia gazowe i środki na emerytury dla najstarszych Naddniestrzan, nie tylko tych, którzy mają rosyjski paszport. Naturalnie nie wycofa się z dofinansowywania sił zbrojnych. Ale będzie wolała pomagać na odległość, żeby lewy brzeg jednak nie zerwał do reszty z Mołdawią, nie przestawał jej z jednej strony ciążyć, a drugiej – wabić, pokazywać, że ślepy pęd do Europy to nie jest jedyna opcja dla małego kraju, który musi realnie oceniać swoje (ograniczone) możliwości.

Na pożegnanie Kuźmiczow zachęca, by jeszcze wrócić do Naddniestrza. Jeszcze raz zachwala serdeczność i gościnność miejscowych, w jego ocenie odwieczne, typowe cechy rosyjskiego człowieka. Nie może uwierzyć, że w Polsce o Rosji i rosyjskich ludziach mówi się i pisze, konsekwentnie od kilku lat, coraz gorzej.

– Gdybyśmy przyjechali do Polski, ja i moi współpracownicy, to byśmy was z rusofobii wyleczyli. W tydzień! – mówi z tym samym niezachwianym przekonaniem, z którym opowiadał o prawach

Naddniestrza do decydowania o sobie oraz o potrzebie gospodarczej reformy. Wiem, że nawet jeśli nie ma racji, to i tak mu tego nie wyperswaduję. Nieprzypadkowo Giennadij Kuźmiczow idzie do wyborów pod hasłem „Silni ludzie – silne państwo”.



Twierdza w Benderach.

Kiedy ten tekst jest już właściwie gotowy, trafiam na relację z zorganizowanej w Kiszyniowie w listopadzie konferencji o Naddniestrzu. Chodzi już nie tylko o bezpieczeństwo samej Mołdawii, alarmowali pomysłodawcy, proeuropejski think tank Asociația pentru Politică Externă. Szatański plan Rosji, utworzenie nieuznawanego nibypaństwa, zyskał kolejną postać w Donbasie i Ługańsku. Trzeba o problemie rozmawiać i opracowywać rozwiązania.

Może to okazja na odrobinę autorefleksji i zrozumienia emocji drugiej, nieznoszącej nieeuropejskiej, strony? Otóż nie, znowu nie. Fakt, nie ma pogróżek pod adresem „okupantów” i niechcianych przybyszów z drugiej strony Dniestru. Realizm kazał również powstrzymać się od marzeń o siłowych rozwiązaniach czy dywersji w typie Ilascu. Ale nakreślenie chronologii problemu czy pomyślenie o jego źródłach organizatorów przerosło. Zadowolili się wyrażeniem smutku z powodu faktu, że coraz powszechniejsze jest mówienie na lewym brzegu o narodzie naddniestrzańskim, a ani mołdawskie, ani

ukraińskie władze „nie wypracowały rozwiązań w dziedzinie polityki językowej i tożsamościowej”.

Był za to gość z Wielkiej Brytanii, James Sherr, reklamowany jako specjalista od rosyjskiej polityki zagranicznej i wojskowości. Jego było trzeba mołdawskim euroentuzjastom! Wybornie podniósł ich na duchu, zapewniając, że nie ma podstaw prawnych do obecności rosyjskich wojsk w Naddniestrzu, a jeśli chodzi o Ukrainę, to w ogóle martwić się nie ma czym, bo działa tam prężne społeczeństwo obywatelskie, niemalże równoległa struktura państwa. Możemy być optymistami, zakończył swoje wystąpienie. Nie będzie drugiego Naddniestrza na Ukrainie, a słuchacze mogli też zyskać pewność, że także to pierwsze wkrótce pokornie wróci pod prawowitą władzę w Kiszyniowie.

Z tą samą pewnością zwycięstwa mołdawskie wojska szły w 1992 r. na Bendery.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Zdjęcie: Wikimedia Commons (1, 2), Agatha Rosenberg (3, 4)

Źródło: Strajk.eu